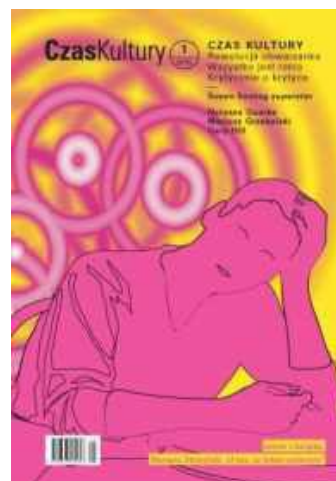


CzasKultury Numer 124(1/2005)

Rafał Grubiński, Marek Wasilewski

Rewolucja obwarzanka



Skąd się wziął dwadzieścia lat temu pomysł wydawania „Czasu Kultury”?

Pomysł miał kilka źródeł. Po pierwsze, zmęczenie upolitycznieniem tego, co w ruchu podziemnym było życiem kulturalnym, upolitycznieniem i tekstów literackich, co szczególnie negatywnie odbijało się na poziomie wartości estetycznych ówczesnej poezji, która dbałość o formę porzuciła dla treści i życia krytyki, w której sporach przeważały oceny polityczne. Obowiązywał podział na tego, kto był swój i kto był obcy: swój, nawet jeśli wydał słabą książkę, był oceniany wysoko, natomiast każdy pisarz, który wydawał w oficjalnym wydawnictwie, był grafomanem. I nikt nie miał ochoty zmienić tej postawy, ukształtowanej w pierwszych miesiącach od chwili wprowadzenia stanu wojennego. Drugą przyczyną było to, że współpracując ściśle z pismem społeczno-politycznym „Czas”, wydawanym wówczas przez Solidarność Walczącą, próbowaliśmy realizować też część kulturalną tego pisma, ale to nie wychodziło, ponieważ ilość ważnych materiałów społeczno-politycznych, które dotyczyły bieżących wydarzeń, była tak wielka, że dla nas nie starczało już miejsca. Przypomnę choćby słynny wywiad Anki Grubińskiej i Włodzimierza Filipka z Markiem Edelmanem, publikowany w Poznaniu na łamach „Czasu” i przedrukowany w Stanach Zjednoczonych przez „The Across Frontiers”, który stał się zarzewiem zaciętej dyskusji, z udziałem „Commentary”, „New York Timesa”, „The New York Review of Books” i innych czołowych pism, w której w obronie Marka Edelmana, atakowanego gwałtownie za to, że pozostał po wojnie w antysemickiej Polsce, oraz w obronie Polaków zabrał głos między innymi Norman Davis. To pismo zajmowało się tak ważnymi sprawami, że kultura wydawała się tam kwiatkiem do kożucha.

Trzecią przyczyną była myśl o tym, że kiedyś uda się nam przecież wybić na niepodległość albo przynajmniej jakieś zliberalizowanie jedynie słusznego ustroju i w związku z tym warto już teraz zacząć formować środowisko, które mogłoby tworzyć kulturę w nowych warunkach. Miałem jeszcze taką ideę, której gorącym wyznawcą był również Krzysztof Czyżewski, współzałożyciel pisma (obok Anki Grubińskiej, Dariusza Gościńskiego i Andrzeja Piątka), że należy przypominać teksty zapomniane, ludzi zapomnianych z historii polskiej kultury, którzy powinni być ważni dla formacji duchowej pokolenia stanu wojennego. Chcieliśmy pokazywać kulturę dawnej Rzeczypospolitej bez zakłamania i cenzury, chcieliśmy też wykazać, że ówczesna, zwalczana przez Kisielea, quasi-piastowska wizja Polski lansowana przez władze PRL, Polski jednorodnej etnicznie i socjalistycznej zarazem, jest sprzeczna z prawdziwą tradycją państwa polskiego. Poza okresem sowieckiego zniewolenia nigdy chyba nie miało ono mniej niż jedną trzecią innych narodowości i wyznań w swoim składzie.

Takie pismo nie bierze się tylko z idei, tworzą je konkretni ludzie, musi mieć jakieś podstawy materialne, a coraz mniej ludzi pamięta, że w 1985 roku nie można było szukać sponsorów, żeby dostać pieniądze na papier i druk.

Tak, pamiętam, jak cichaczem wynosiliśmy papier z różnych miejsc, urzędów. To była kwestia determinacji i dobrej organizacji. Z punktu widzenia działalności podziemnej, w Poznaniu byliśmy w gorszej sytuacji. Po pierwsze, w związku z kiepską postawą w regionie ówczesnych szefów związku Solidarność staliśmy się peryferium ówczesnego podziemia. Przypomnę, że pierwszy przewodniczący regionu, Zdzisław Rozwałak, podpisał – co prawda na skutek ubeckiego podstępu – deklarację lojalności, a drugi, Janusz Pałubicki, bardzo szybko wpadł ze swoimi współpracownikami i tylko jego bohaterska głódówka poprawiła wizerunek poznańskiej Solidarności. Kolejnym powodem były moje radykalne poglądy w kwestii walki z komunistami, co było przyczyną mojej współpracy z Solidarno-ścią Walczącą. Pierwsze numery pisma drukowała młodzież z wrocławskiego NYS-u, a druk i przerzuty organizował z ich strony Grzegorz Schetyna.

Ale nie chciałeś chyba zabijać komunistów?

Nie, choć czasami się o tym rozmawiało z rozpalonymi głowami... oni zabijali, dręczyli, więzili... No, ale po pierwsze, stan wojenny okazał się jednak „miękkim rozwiązaniem” co do skali i systemu represji, a po drugie, nie było po temu technicznych możliwości; jak się ma gołe pięści, to jest to kwestia czysto teoretyczna, nie ma o czym mówić. W każdym razie uważałem, że należy robić o wiele więcej niż tylko modlić się na patriotycznych mszach i maszerować po nich pokornie wzdłuż szpalerów ZOMO. A do samoograniczającej się rewolucji ciągle nas nawoływano. Nie mieliśmy więc początkowo zaplecza w postaci sprzętu poligraficznego przerzucanego do Polski, bo na tym trzymała rękę centrala Solidarności, TKK i musieliśmy zdobywać wszystko sami. I tu powiedzieć muszę, że „Czas Kultury” dużo zawdzięcza dwóm instytucjom z Zachodu, które uznały, że pomoc należy się nam w równie znacznym stopniu, jak Solidarności. Byli to: Jerzy Giedroyc, który wspierał nas przez cały czas podziemia, i Irena Lasota, która reprezentowała nowojorski Komitet Solidarności z Solidarnością.

Myślę, że powstrzymanie się od przemocy było dla ówczesnej opozycji jedynym rozsądnym rozwiązaniem. Wróćmy jednak do tematu. Postać Giedroycia jest ważna nie tylko ze względu na wsparcie finansowe, byłeś przecież także jednym z autorów drukowanych w „Kulturze”. A tytuł „Czas Kultury” zapewne zawdzięcza swój drugi człon dorobkowi paryskiej „Kultury”.

Oczywiście. Tytuł, który w warunkach podziemnych wydawał się nam mało „walczący”, wynikał w dużym stopniu z tego, iż uważaliśmy, że w dużym stopniu to co robił, mówił i przekazywał nam Redaktor, buduje naszą drogę do wolności i chcieliśmy mocno zaakcentować, że jest to dla nas pewnego rodzaju wzorzec. Jednocześnie chcieliśmy podkreślić naszą wiarę, że kultura będzie miała rację i że prędzej czy później „czas kultury” zwycięży „czas polityki”, i o tym pisaliśmy we wstępie do pierwszego numeru.

Ale podobnie jak „Kultura” paryska „Czas Kultury” nie traktował kultury jako obszaru oderwanego od rzeczywistości, zamieszczaliście dużo materiałów polemicznych w stosunku do tego, co się działo w przestrzeni społecznej i polityce.

Tak, jednym z podstawowych powodów wydawania pisma była niezgoda na pewien typ poglądów: chodziło o moje pragnienie kształtowanie hierarchii wartości poza denerwującym orzekaniem ex cathedra, że coś jest słuszne, a coś niesłuszne, w czym królowali ludzie pokroju Michnika, Geremka czy Mazowieckiego. Uważałem wtedy również, że dyktat zmysłu estetycznego pokolenia ‘68 tak się umocnił, że praktycznie nie są dostrzegane rzeczy

nowe i że wymaga to zdecydowanej polemiki na poziomie krytyki literackiej. Ten pazur publicystyczny miał wpływ i na to, że spieraliśmy się w ocenie sytuacji politycznej, sprzeciwialiśmy się zarzucaniu nadmiernego radykalizmu wszystkim wokół przez ludzi dawnego KOR-u. Uważałem, że tak naprawdę było to odcinanie nas od wsparcia finansowego, a nie rzeczywista polemika ideowa. To był jeden z przykrych odcieni szlachetnej walki: konkurentom do pieniędzy z Zachodu dorabiano gębę szaleńców. Ale tak naprawdę wspomniana „czasokulturowa” postawa polemiczna, przynajmniej w moim przypadku, zaostriżyła się po 1989 roku.

Właśnie, niezwykle ważnym momentem w dziejach pisma było wyjście z podziemia. Wydaje się, że „Czas Kultury” odegrał swoją rolę w bardzo ostrych sporach tego okresu.

Tak. Nasze polemiki okazały się na tyle dotkliwe, że moje pisane równoległe felietony w „Tygodniku Literackim” (typu „Recht i kumkanie”) wywoływały gwałtowne telefony od VIP-ów do redakcji z protestami, ale to było tylko przedłużenie zamieszczanych w paryskiej „Kulturze” i „Czasie Kultury” tekstów o Pinach (czyli polskich inteligentach). Bo mój atak na myślenie o rzeczywistości pod dyktando jednego środowiska, walka ze zbiorowym, stadnym kształtem myślenia, z namaszczonego pisaniem pełnych pseudopatriotycznej waty pamiętników z internowania spowodowały, że zostałem raz na zawsze zaszufladkowany jako wróg inteligenckiego ludu warszawsko-krakowskiego (Michnik stwierdził po artykule „Ci wspaniali mężczyźni od podstawowych wartości”, że kreuję fałszywy syndrom) i – niestety – z mojego powodu „Czas Kultury” został zapamiętany jako pismo środowiska, które hasa i próbuje bić po szczękach tych najbardziej sprawiedliwych wśród sprawiedliwych. A my mieliśmy po prostu swoją wizję rozwoju kraju, postulowaliśmy między innymi dokonanie szerokiej dekomunizacji, bo to nie lustracja, która jest tylko częścią koniecznej kuracji odwykowej, ale szeroka dekomunizacja była potrzebna! Zresztą, jak widać po latach, mieliśmy rację, gdyby słuchano takich głosów jak nasze, państwo byłoby dzisiaj mniej schorowane... Poza tym teksty naszych autorów były bardzo krytyczne wobec niektórych książek Adama Zagajewskiego, Wojciecha Karpińskiego, nie podobały nam się niektóre teksty Stanisława Barańczaka, którego zarazem bardzo szanowaliśmy, nie podobała nam się eseistyka Michnika, pełna tromtadracji i błędów merytorycznych... Podziwialiśmy za to Zbigniewa Herberta, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Kisiela, szukaliśmy nowego Stempowskiego...

Tak, ale obok rzeczy, które się wam nie podobały, zaczęły się pojawiać zupełnie inne zjawiska. Promowaliście nowe nazwiska w literaturze.

Ten pazur publicystyczny powodował, że nawet gdybyśmy chcieli, nie moglibyśmy zapewne liczyć na publikacje wielu znanych i uznanych wówczas autorów. Ale oczywiście z założenia nasza polityka była inna: ponieważ byliśmy w sporze z pokoleniem '68 jako środowiskiem literackim, jak i z postawami, które uznawaliśmy za zachowawcze w literaturze, postanowiliśmy wylansować nowe pokolenie. Zależało nam także, aby takie środowisko rozpoznać i stworzyć od nowa w Poznaniu. W tym celu zorganizowaliśmy stały, coroczny konkurs literacki i nagrody za debiut książkowy i najlepsze książki w kilku kategoriach. Pod różnymi pretekstami organizowaliśmy spotkania, na które ściągaliśmy ludzi z całej Polski. Przy okazji organizowaliśmy głośne koncerty w „Eskulapie”, otworzyliśmy galerię sztuki, którą prowadziła Izabela Pikosz... Podczas naszego pierwszego konkursu literackiego od razu zostali wyróżnieni tacy pisarze, jak Adam Wiedemann czy Marzanna Kielar, w drugim konkursie pojawiła się Natasza Goerke, w trzecim Łukasz Gorczyca, twórca sławnej dziś

galerii sztuki „raster”, później Miłosz Biedrzycki, Wojciech Bonowicz, Dariusz Suska i tak dalej... W którymś kolejnym wydaniu pojawił się Tomasz Różycki, dziś bardzo nagradzany, a jego wyróżniony przez jury wiersz tak naprawdę został losowo wyłowiony przez mojego kota, który miał wybrać coś z wierszy, które ocenialiśmy jako równie dobre. Wśród najciekawszych debiutów poetyckich nagrodziliśmy między innymi Krzysztofa Siwczyka, a wśród laureatów naszych konkursów na najlepsze książki roku znaleźć można było Krystynę Miłobędzką, Kazimierza Brakonieckiego czy niedocenianego eseistę i filozofa Stanisława Cichowicza. Ta próba pokazania nowej estetyki poprzez nowych autorów, przypomnienie niezwykle ciekawych pisarzy i myślicieli, choć żyjących w cieniu innych, pokazanie, czym oni oddychają, jakim językiem myślą, była naszą odpowiedzią na zarzuty, że jesteśmy pismem nadmiernie radykalnym, niepotrzebnie wywołującym spory i konflikty. A bez sporów nie ma przecież rozmowy w kulturze...

Warto pamiętać, że początek lat 90. był bardzo ciekawym okresem w kulturze w Polsce, kiedy życie kulturalne buzowało głównie w różnych lokalnych ośrodkach, a dzisiaj centrala warszawska przejęła z powrotem inicjatywę i to ona dyktuje, co jest ważne, a co nie. Wtedy ogłaszano nawet w różnych pismach koniec centrali i dominację wielości różnych regionalnych i prowincjonalnych głosów.

Po 1989 roku wybuchła w kulturze regionalna rewolucja, którą poeta Tadeusz Żukowski nazwał rewolucją obwarzanka. Twierdził on z wielką swadą, że w środku Polski, czyli w Warszawie powstała czarna dziura, a na obrzeżach od Lublina, gdzie wydawano świetne początkowo „Kresy”, poprzez olsztyńską „Borussię”, białostockie „Kartki”, gdański „Tytuł”, słynną ostrołęcką „Pracownię” stworzoną przez świętej pamięci Wojtka Woźniaka, krakowskie „bruLion” i „NaGłos” i wiele innych, powstały prężnie działające środowiska młodoliterackie, wydające pisma, przy których z kolei wydawano swoje serie książek, głównie debiutanckich. To był bez wątpienia spontaniczny, wspólny oddolny ruch, który czeka dopiero na swego kronikarza.

Powstała także Biblioteka Czasu Kultury.

Tak i ukazało się w niej kilkadziesiąt tytułów. Warto przypomnieć, że pierwotnie, wraz z CzeKa, do naziemnego życia przenieśliśmy wraz z niezwykle dla „Czasu Kultury” zasłużonym Ryszardem Czaparą tygodnik „Obserwator Wielkopolski”, który utrzymał się chyba z rok, a także wspólnie z Krystyną i Ryszardem Krynickimi założyliśmy wydawnictwo A5. Dopiero po rozstaniu z Krynickimi, którym oddaliśmy nazwę, uruchomiliśmy Bibliotekę Czasu Kultury. Ukazały się w niej między innymi powieści Andrzeja Stasiuka, Izabeli Filipiak, Krzysztofa Załuskiego, opowiadania Nataszy Goerke, Łukasza Gorczycy, wiersze Jana Kaspra, Tadeusza Żukowskiego, Marcina Świetlickiego, Adama Wiedemanna, Marzanny Bogumiły Kielar, Andrzeja Stasiuka, Piotra Kępińskiego, Adama Kaczanowskiego, Mariusza Grzebalskiego, eseje Piotra Piotrowskiego, Radosława Okulicza-Kozaryna...

Dzisiaj znaleziono pogardliwe określenie na pisma literackie czy artystyczne i mówi się o nich pisma niszowe, co pokazuje, jaka jest obecnie ich pozycja...

Wtedy te pisma były czytane, dzienniki i tygodniki nie były jeszcze takie mocne, miały skromne działy kultury. W każdym razie ten czas aktywności kultury obwarzanka spowodował niesamowite bogactwo miejsc, w których można było publikować, a ta możliwość wyboru powodowała z kolei, że polemiki osiągały często temperaturę wrzenia. Jak choćby nasz spór z „Zeszytami Literackimi”...

To, co robił „Czas Kultury”, nie odbywało się w próżni. Tutaj warto by wspomnieć o „bruLionie” i o różnicach między tym pismem a „Czasem Kultury”.

„bruLion” i „Czas Kultury” powstały z podobnej potrzeby; można powiedzieć, że były to pisma trzeciej generacji ruchu podziemnego, w swych głównych zajęciach apolityczne. Walcząc z komunistami i ZOMO, jednocześnie tworzyliśmy pisma, których czytelników traktowaliśmy jako przyszłych wolnych obywateli wolnej Polski. I tak do nich mówiliśmy, językiem wolności, ponad koteriami, które istniały i w ruchu niezależnym, poza polityką, za to z perspektywą budzenia w naszych czytelnikach ciekawości rzeczy najwartościowszych i nieznanych, niezależnie, czy zrodziły się w czasach antyku, czy dopiero wczoraj. „Czas Kultury” jeszcze w podziemiu publikował na przykład rozmowę z uczniem Brunona Schulza, Harry Zeimerem, który opowiadał, jak malował ze swoim nauczycielem plafony w willach gestapowców w Drohobyczu, czy wspomnienia Władysławy Larysy Chomsowej, niezwykle dzielnej szefowej Żegoty we Lwowie, która osamotniona i zapomniana, wyjechała w końcu do Izraela, gdyż tam zaopiekowały się nią Żydówki, którym uratowała wcześniej życie. Publikowaliśmy historię powstania Tybetu przeciwko okupacji chińskiej, wspomnienia Dalajlamy i nawet fragment tybetańskiej powieści o powstaniu w 1959 roku. Z drugiej strony, opublikowaliśmy na przykład ostry, bliski pornografii fragment powieści amerykańskiego pisarza, Huberta Selby’ego, „The Last Exit to Brooklyn”, a oprócz tego zajmowaliśmy się czy to chasydami, czy etosem pracy i jego zmianami na przestrzeni wieków, od starożytnych Greków i pierwszych chrześcijan poczynając, czy wreszcie korespondencją Marka Aureliusza ze słynnym retorem Frontonem bądź dawną poezją perską lub chińską. To było owe szerokie spektrum, w którym się poruszaliśmy, bo uważaliśmy, że są to istotne obszary kultury, każdy z innego powodu. „Czas Kultury” w początkach lat 90. publikował literaturę cyberpunkową, ukraińskich bubabistów, z Andruchowyczem, Irwaniem i Neborakiem na czele, prowadził spór o postmodernizm itd... Było to pokazywanie rzeczy pomijanych, ale także świetnej, a nieznannej wtedy jeszcze w Polsce literatury, takiej jak twórczość Amosa Oza, Wasyla Stusa, Georges’a Pereca, Martina Bubera czy Toma Wolfe’a... Niecały rok po wspomnianym brutalnym tekście Selby’ego „bru-Lion” porzucił, symbolicznie mówiąc, Tadeusza Konwickiego, Jarosława Marka Rymkiewicza i krakowskie salony i od 9. numeru mogliśmy w nim znaleźć na przykład obrazoburcze „Oko” Bataille’a. Pismo zasłynęło potem z takich właśnie tekstów i na nich oparło kampanię medialną, publikując wywiad z prostytutką czy relację z klubów sadomaso w Nowym Jorku.

Po czym dokonał nagłego zwrotu przed ołtarz...

W postaci nagłego nawrócenia Roberta Tekielego, (którego notabene bardzo wysoko ceniłem i z którym współpracowałem w redakcji „Tygodnika Literackiego”). Ów zwrot, nagłą i głęboką konwersję w jakimś stopniu chyba przeczuwałem. W tekście zamieszczonym w „Ex Librisie” bodaj w 1992 roku pisałem, że gdy się pokazuje wciąż tak ciemne strony wolności i demokracji, jak sprawki tajnej policji czy wkładanie ręki po łokieć w odbyty w poszukiwaniu rozkoszy, to musi się to skończyć albo łaknieniem dyktatury, albo powrotem na arcykonserwatywne pozycje.

„Czas Kultury” poruszał często tematy, które w innych pismach o kulturze w ogóle nie były brane pod uwagę; kiedy pisaliście o chorobie wściekłych krów albo analizowaliście film „Nagi instynkt” w kontekście powieści neogotyckiej, większość porządnych pism kulturalnych nadal „pogłębiała tos”.

Błyskotliwa analiza „Nagiego instynktu” to zasługa Marka Wilczyńskiego. To, że pisaliśmy w 1991 roku o groźbie choroby szalonych krów na długo przed wybuchem paniki w Europie, a tym bardziej w Polsce, wynikało z tego, że penetrowaliśmy związki między nauką i kulturą, prowadziliśmy specjalną rubrykę poświęconą takim związkom. Zainteresowanie „Czasu Kultury” groźbą nieznannej choroby brało się z rozważanego przez nas, a konkretnie przez Tomasza Grupińskiego, lekarza weterynarii, dylematu moralnego, czy zwierzę żywiące się roślinami może być karmione przetworzonymi w paszę szczątkami innego zwierzęcia. Oczywiście w ogóle nie przeczuwaliśmy skali tego, co się później działo. O wielu sprawach pisaliśmy jako pierwsi lub jedni z pierwszych w Polsce dzięki naszym zagranicznym korespondentom, takim jak malarz i rysownik Piotr Gumper w USA, pisarka Renata Jabłońska w Izraelu czy eseista i podróżnik Włodzimierz Fenrych w Wielkiej Brytanii, oraz śledzącym wszelkie nowe trendy młodym autorom, korzystającym wreszcie ze swobodnego przepływu informacji. Krytycznie od samego początku opisywaliśmy na przykład zjawisko political correctness w Stanach, przekazywaliśmy informacje o nowych trendach typu niekonwencjonalne w formie, choć konserwatywne talk shows w amerykańskim radiu w stylu Howarda Sterna, które bardzo zainteresowało środowisko tak zwanych pampersów, czyli młodych redaktorów kultury w TVP.

Staraliśmy się wyczuwać przed innymi, co i gdzie piszczy w trawie, na przykład jeszcze w podziemiu drukowaliśmy obszerny i okrutny w swej wymowie tekst Herty Müller o bezwzględnym zakazie aborcji w Rumunii Ceausescu, o nieszczęściach kobiet i żniwie śmierci, jakie ów zakaz powodował. Kilkanaście lat temu publikowaliśmy fragment debiutanckiej powieści Elfriede Jelinek. Mimo iż jestem konserwatywnym liberałem, zawsze byłem za tym, by publikować teksty, które pokazują istotne problemy społeczne albo prezentują ciekawe argumenty, czy wreszcie uczą tolerancji. Nie było numeru, w którym nie poświęcalibyśmy na przykład jakiegoś fragmentu kulturze żydowskiej, począwszy od tekstów naszej stałej współpracownicy z Izraela Renaty Jabłońskiej, aż po teksty o historii chasydów czy wstydlivy problem synagogi poznańskiej, miejsca sacrum do dziś służącego jako basen pływacki, tak jakby władze naszego miasta ciągle wykonywały na tej świątyni wyrok niemieckiego okupanta.

Powiedz, czy po tych dwudziestu latach myślisz, że czas kultury zaczął już wypierać czas polityki? Czy może znowu jesteśmy w tym samym miejscu?

Sadzę, że jesteśmy w innym miejscu, ale nie jest ono specjalnie lepsze. To, co się w tej chwili dzieje w kulturze, jest ciekawe, interesujące, jest wiele miejsc, w których może ona prezentować swoje osiągnięcia. Martwi mnie jednak spłylenie potrzeb, jeśli chodzi o jakość tego, co można nazwać produktem kultury, martwi mnie niski pułap oczekiwań oraz system kształtowania hierarchii w kulturze poprzez mass media. Otóż dziś działa mechanizm nie mecenatu, który zresztą został zrujnowany przez lata panowania socjalizmu, lecz jak nazwał to trafnie poeta i krytyk Jarosław Klejnocki, system profitariatu, to znaczy jeśli jesteś w mediach, jesteś dobry, a jeśli ciebie nie ma, to nie istniejesz. Jednym słowem, wszystko zależy od wpływów i znajomości w mediach oraz ludzi, którzy na końcu tego przewodu pokarmowego mogą ewentualnie chcieć cię skonsumować, gdyż wszystko jest konsumpcją, a z galerii handlowych prędko uczyniono nowe świątynie, do których pielgrzymuje młodzież. To powoduje, że to, co jest chorobą w polityce, stało się także chorobą w kulturze. Wytrwały lobbying, koteria lub żenujący intelektualnie skandal decydują o tym, kto jest na pierwszych miejscach w rankingach oceny artystycznej. I nie mówię teraz o listach bestsellerów, bo one rządzą się swoimi prawami, tam zawsze decydują czytelnicy, odbiorcy, czysta statystyka, której się nie da zakłamać. To jest kwestia rynku, który chyba w pogoni za zjawiskami

ważnymi społecznie, (stąd przecież sukces i Masłowskiej, i Kuczoka, i Shutego – to tematy ich niosą, nie artyzm) zbyt mocno w tej chwili dyktuje hierarchie. Mamy ten problem, że o ile kiedyś mówiło się, że to, co wartościowe, i tak przetrwa czas swego powstania, nawet gdyby było kompletnie ignorowane przez współczesnych, tak dziś żyjemy w epoce nadmiaru informacji. Uczestniczymy w świecie takiego zalewu nowości, takiego tempa konsumpcji, że raczej nie ma szansy na to, żeby uwaga przy jakiejś książce utrzymała się dłużej niż miesiąc, dwa, najwyżej trzy. Można włożyć między bajki pogląd, że książka niezauważona dzisiaj za dziesięć lat stanie się cenionym i poszukiwanym arcydziełem. Wielu ciekawych pisarzy i artystów pracuje gdzieś poza obiegiem medialnym, wykonuje bardzo porządną artystycznie i estetycznie robotę, tylko moim zdaniem czytelnik nie mam do nich dostępu; nawet jeżeli mijamy galerię, w której jest dobra wystawa, nie wiemy o tym, bo krytyk na przykład z „Gazety Wyborczej” albo z „Polityki” lubi pisać o, powiedzmy, galerii Foksal, a nie o innych. Należy po prostu uznać za stan naturalny fakt, że dziś to media mają swoje hierarchie i swoich ulubieńców, a my głodni wiedzy łykamy gotowe, choć często kiepsko strawne potrawy. Na fakty nie należy się obrażać.

Kultura coraz bardziej istnieje tylko w przekazie medialnym i to ją w pewnym sensie zabija.

Można powiedzieć, że życie kulturalne w tej najwyższej części hierarchii przypomina trochę życie gwiazd na łamach kolorowych tygodników, ciągle ci sami w różnych odsłonach i zmieniających się porach roku.

Nie chciałbym, żeby nasza rozmowa przypominała lament, jaki na temat dzisiejszych czasów wydaje z siebie co tydzień Stanisław Lem na łamach „Tygodnika Powszechnego”. Powiedz, co Ci się podoba w dzisiejszej kulturze.

Cóż, podoba mi się druga strona medalu, czyli to, co chciałem właśnie dopowiedzieć. Ci, którzy chcą walczyć o popularność publiczną, mają dziś mnóstwo środków, żeby to robić. Dla mnie takim przykładem jest beztalencie, jakim jest Shuty. Człowiek, który pisze bardzo słabą polszczyznę, robi karierę, bo wrażliwi społecznie, wegetariańscy konsumenci muszą mieć co kwartał nową Masłowską. Można powiedzieć, że jeśli ktoś piszący rzeczy bardziej wartościowe zrozumie, iż współpraca z mediami da mu szanse na większe pieniądze, a w konsekwencji później więcej spokoju do pracy, tym może wygrać grę z mediami ich własną bronią. Wylansowawszy go, mogą zostać przez niego odtrącone. Mnie specjalnie nie martwią informacje podobne do tej, że w ubiegłym roku dwadzieścia pism literackich zamknęło się na amen, że kolejnych dwadzieścia parę, jak obliczył Radosław Wiśniewski, przestało się regularnie ukazywać. Pism literackich, kulturalnych jest coraz mniej, to jest oczywiście poważny problem, ale tak naprawdę na miejsce jednych powstaną inne, nowe, nie mam co do tego wątpliwości. Jeśli my stworzyliśmy pismo w noc stanu wojennego, włamując się w nocy do jakiejś spółdzielni po powielacz, to o ile łatwiej jest dziś naszym następcom? Aż wstyd o tym mówić. Natomiast jedno mnie boli, uważam za szczególnie dokuczliwy brak jakiegokolwiek ogólnopolskiego tygodnika literackiego, pisma, w którym wymieniałoby się nowości, prowadziło pogłębione polemiki, prowadziło rozrachunek z przeszłością... No, ale do tego trzeba już większych pieniędzy i sam zapal ani kradzież powielacza nie wystarczą. Do tego muszą dojrzeć polscy wydawcy.

luty 2005

Tekst ukazał się w papierowym wydaniu Czasu Kultury na stronie: 4–11